Dodatek „WIECZORÓW RODZINNYCH".

Szkoła Krzemieniecka.

OBRAZKI I WSPOMNIENIA.

WARSZAWA.
Druk Szyllera
Nowy-Świat 26.

1906.

WSTĘP.

W kilku ostatnich dodatkach miesięcznych „Wieczory Rodzinne" zamieszczały pamiętniki uczni współczesnych szkół angielskich, w tym celu, aby czytelnicy nasi zapoznali się z życiem swych rówieśników, należących do narodu, który obecnie przoduje, rzec można, całemu światu.

Ale dzieje szkolnictwa polskiego mają też swoje świetne czasy, przerwane, niestety, po niezbyt długiem trwaniu.

Ta doba przypada na trzy pierwsze dziesięciolecia wieku XIX-go na dobę dwóch uniwersytetów Wileńskiego i Warszawskiego, na wiele dobrych szkół średnich, gęsto rozrzuconych po całym kraju, wreszcie na znakomite liceum Krzemienieckie.

W tej dobie nad urządzeniem oświaty w kraju górują dwie postacie: ks. Adam Czartoryski, kurator okręgu naukowego Wileńskiego, i Tadeusz Czacki, założyciel szkoły w Krzemieńcu.

Miasto to, leżące na granicy zachodniej Wołynia, aczkolwiek odznacza się malowniczem po-

łożeniem, nie zapisało się dawniej w dziejach niczem osobliwszem. Dopiero w XIX wieku dzięki Czackiemu stało się przez lat 29 (od 1805 r. — do 1834 r.) przybytkiem wykształcenia, średniego wprawdzie, ale gruntownego, — siedliskiem licznej młodzieży, z której wyszło wielu zasłużonych obywateli i rozumnych profesorów, wreszcie ogniskiem kultury rodzimej, polskiej, w rozległem promieniu trzech obecnych gubernii Wołyńskiej, Podolskiej i nawet Kijowskiej.

Drugim faktem, który przysparza sławy temu miasteczkowi wołyńskiemu — jest ten, iż tu 23 sierpnia 1809 r. urodził się Juliusz Słowacki, jeden z trzech naszych największych wieszczów narodowych, że w tem mieście lub jego okolicach nieraz spędzał wakacye i rok cały po skończeniu uniwersytetu Wileńskiego (1828—1829) zamieszkiwał, uważając je zawsze za swe gniazdo rodzinne.

O tej szkole Krzemienieckiej, o jej urządzeniu, atmosferze duchowej, o życiu jej wychowańców zebraliśmy tu kilka barwnych obrazów ze wspomnień dawnych jej uczni: Korzeniowskiego, Starego Detiuka i innych, posiłkując się piękną pracą p. M. Śleczkowskiej.

I. Otwarcie szkoły.

Było to 101 lat temu!

Dnia 1-go października roku Pańskiego 1805 huknęło sto paszcz spiżowych, poczem dzwony wszystkich kościołów w Krzemieńcu głosem poważnym i uroczystym zwoływały ludność miasteczka do świątyni Bożej.

Gdyby nawet kto dnia tego spał najtwardziej, toć zbudziłyby go huki armatnie. Jednak w dniu tym pamiętnym wszystko, co żyło w Krzemieńcu zerwało się z posłania z dnia brzaskiem, a było tu ludzi niemało! Prócz stałych mieszkańców miasteczka, zjechało się mnóstwo obywatelstwa z okolicy, a nawet przybyli goście ze stron dalszych, bo aż z Warszawy i Wilna, przyjechał dostojnik duchowny, ksiądz biskup Cieciszewski z Łucka i sam gubernator Wołynia, książę Wołkoński.

O dostojnych gościach ze stron blizkich i dalekich, wiedzieli mieszkańcy miasteczka, ciekawi ich też byli oglądać, a trafiała się do tego dobra sposobność. Huk armat i dźwięk dzwonów zapraszał na nabożeństwo, na którem będą goście ze stron dalekich. Po modlitwie będzie można im się napatrzeć.

Mieszkańcy małej mieściny nie miewali dotąd gości tak dostojnych! Cóż zatem dziwnego, że ich widzieć pragną.

Spieszą też ze stron wszystkich na uroczyste nabożeństwo. Dziś jednak tłumów pobożnych obszerny kościół pomieścić nie może, to też ci co przyszli później, z wielkim żalem muszą pozostać na cmentarzu.

Tymczasem ci, którzy dostali się do kościoła, wysłuchali najpierw mszy świętej, którą odprawił ksiądz biskup, potem pięknego kazania, wypowiedzianego przez księdza Bożydara Podhorodeńskiego.

Pięknemi słowy opowiadał kapłan o potrzebie łączenia religii z nauką. Potrzebie tej zaradzając — mówił — otworzono, staraniem ludzi dobrej woli, szkołę w Krzemieńcu, a otwarcie jej jest

dla nas świętem, które rozpoczynamy uroczystem nabożeństwem.

Mądrych ozdobnych słów słuchano w kościele pilnie i uważnie. Do tych, którzy modlili się najgoręcej, rozglądali się najciekawiej i słuchali najuważniej, należał chłopak 12-letni może, który w kościele po modlitwie zamienił się w słuch i wzrok. Wspiął się na palcach, wyciągnął długą, cienką szyję, podniósł głowę i wodził ciekawym wzrokiem po obywatelstwie, które zajęło miejsca w stalach przed wielkim ołtarzem. To znowu przyglądał się dziatwie, zapisanej do nowo otwierającej się szkoły, a stojącej na środku kościoła. Od czasu do czasu zwracał się do otyłego mieszczanina, trącał go łokciem i pytał:

— A kto to, tatulu, ten pan lub ta pani?

— A Bóg ich tam raczy znać — odpowiadał ruszając ramionami — a czy to państwo takie znać może ubogi stolarz z Krzemieńca?

Rozmowę ojca z synem zasłyszał stojący obok w szarej kapocie wysoki, chudy mężczyzna, bo zwracając się do chłopca rzekł:

— Skoroś ciekawy, to patrz i słuchaj, pokażę ci najdostojniejszych go-

ści. Tam, po prawej stronie ołtarza na miejscu honorowym, zasiadł gubernator Wołynia, Wołkoński. Tam, trochę dalej, to panowie z Warszawy, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Nauk, obok nich panowie profesorowie z Wilna.

Poczem chciał wymienić nazwiska znaczniejszych obywateli okolicznych, ale umilkł nagle, bo zabrał głos Tadeusz Czacki, założyciel szkoły w Krzemieńcu.

— Patrz i słuchaj! bo oto przemawiać będzie mąż wielkiego serca i wielkiej nauki.

W kościele zapanowała cisza, wśród której słychać było każde słowo, wymawiane dźwięcznie, wyraźnie.

Tadeusz Czacki witał w przybytku Bożym zebranych, którzy dzień otwarcia szkoły obchodzą jako radosne święto.

— Rzadko trafia się taka ważna i przyjemna dla wszystkich uroczystość, jaką jest dzisiejsza — mówił Czacki. — Oto rodzice składają trwałe ofiary dla szczęścia potomków. Młodzież uznaje dzień dzisiejszy za święto nadziei dla siebie. Rodzi się w ich sercach uczucie wdzięczności dla wychowawców. Nauczyciele zapisani do tej

szkoły cieszą się, iż Bóg pozwolił im pracować dla ojczyzny. Szanowne duchowieństwo zasyła modły do Pana o błogosławieństwo dla młodzieży i profesorów, aby razem, całemi siłami pracowali nad udoskonaleniem własnem, ku pożytkowi ogólnemu. —

Mowa Tadeusza Czackiego była piękna i długa. Nie można było całej zapamiętać, utkwiły jednak wszystkim najważniejsze ustępy. Między innemi powiedział, że nauka potrzebną jest zarówno mężczyźnie jak i kobiecie. Światła bowiem kobieta potrafi jedynie wychować dzieci na zacnych obywateli.

Po Czackim przemawiali jeszcze inni: Antoni Jarkowski, prefekt nowej szkoły, jeden z członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Mów tych jednak nasz ciekawy stolarczyk nie słuchał, bo po przemówieniu Czackiego otyły stolarz rzekł:

— Chodźmy, bo tu taki par, że człowiek powietrza zachwycić nie może i przyjdzie się chyba udusić. — Wymówiwszy te słowa ruszył ku drzwiom, pociągając za sobą syna.

Chudemu mieszczaninowi snać także dokuczyło gorąco w kościele, bo po-

szedł za otyłym stolarzem i jego ciekawym synem.

Gdy znaleźli się na chłodzie przed kościołem, chudy mężczyzna rzekł:

— Juścić tu milej, ale tam w kościele par straszny, chociaż błogo było patrzeć na te zacne osoby, które otwierają szkołę w Krzemieńcu, a najmilej na pana starostę Czackiego, boć go znam, szanuję i kocham nie od dnia dzisiejszego.

— A gdzieście to, panie majstrze, poznali taką znaczną osobę, jak pan starosta?

— Gdzie i kiedy poznałem pana starostę? Otóż lat temu wiele, w moim gnieździe rodzinnem, w Porycku. Byłem ci ja wtedy próżniakiem i wisusem, dzień cały mitrężyłem i wymyślałem coraz nowe psoty. Aliści założył szkółkę w Porycku dzisiejszy pan starosta, podówczas panicz nie duży. Szkółka była nowością w miasteczku, więc my, mali próżniacy, nie wiedzący co robić dzień cały, pobiegliśmy do szkółki z nudów i ciekawości. W szkółce było nam tak dobrze, tak przyjemnie czas uciekał, niby woda w rzece! Aniś się opatrzył, jak mijała godzina za godziną. Żal było nam ze szkoły wychodzić, to też czekaliśmy głosu dzwon-

ka, zwołującego na naukę, jak zbawienia, a drzwi szkoły uważaliśmy niby bramę raju.

— A cóżeście wy w szkole robili, panie majstrze, że wam tam tak błogo było? — pytał stolarczyk.

— Cośmy robili? Uczyliśmy się słowa Bożego, czytania, pisania i rachowania, a co najważniejsze! dowiedzieliśmy się w tej błogosławionej szkółce, że próżniactwo jest początkiem wszystkiego zła na ziemi, a praca wiedzie prosto do cnoty, a cnota do nieba. Cóż dziwnego, żeśmy tam biegli, jak do raju. Że kochaliśmy panicza, który zakładając szkółkę, przychylił nam nieba. Cóż dziwnego, że gdy ujrzałem w kościele tego, na którego oczy moje dziecięce patrzały, zrobiło mi się błogo na duszy. Gdyby nie jego szkółka, byłbym zapewne wyrósł na wisusa i darmozjada. Ale gdym się w szkółce dowiedział, że każdy człowiek powinien pracować, już sumienie nie pozwalało mitrężyć i psocić. Postanowiłem poszukać sobie pracy użytecznej, zostać rzemieślnikiem, a ciekawość największą miałem do szewctwa.

Rzemiosło nie dla szlachcica! powtarzali mi krewniacy, szlachta zaścian-

kowa. Jam tej gadaniny bez sensu nie słuchał, rzemiosła się nauczył, i Pana Boga chwalić, mam żyć z czego i rodzinę w uczciwości chować, i da Bóg, mój chłopak podrośnie, to dam go do szkoły w Krzemieńcu, bo skoro ją założył Tadeusz Czacki, to juściż ona tylko ku pożytkowi ludzkiemu służyć będzie.

— Malutkie to było, a szkółkę zakładało! Dziecko, miało rozum starego. Teraz, gdy urósł, gdy dojrzał na męża, nie malutką, lecz wielką szkołę na kraj cały zakłada — mówił rozrzewniony majster szewcki, jakby do siebie.

— Mój Boże! dzieckiem był i szkółkę założył — zadziwił się milczący dotąd stolarczyk. — A skoroście, panie majstrze dawniej znali pana starostę, to powiedźcie nam co więcej o nim — mówił głosem proszącym. — Taki zacny człowiek, toć warto o nim co posłyszeć.

— Pan starosta zasłużył sobie, aby o nim mówiły godniejsze usta od moich, ale skoro ich nie ma w tej chwili, to posłuchajcie mego mizernego opowiadania:

My, mieszkańcy Porycka, nie długośmy się cieszyli naszym paniczem;

zaledwie bowiem liczył lat 16, aliści powołano go do Warszawy na członka sądów nadwornych koronnych. Inny na jego miejscu pyszniłby się urzędem otrzymanym w tak młodym wieku. Dalekim był od tego nasz panicz! Zabrawszy się do swego urzędowania, przekonał się, że mu brak wielu wiadomości do spełniania obowiązków obywatelskich; dopełnił je też, siedząc wszystkie wolne godziny w bibliotece Załuskich i rozczytując się w dziełach prawnych, politycznych i historycznych. W tej samej bibliotece pracowali podówczas ludzie uczeni, sami nawet pisywali księgi — możeście o nich kiedy słyszeli? Oto był to ksiądz biskup Adam Naruszewicz i Jan Albertrandy. Poważni uczeni obaczywszy młodzieniaszka wśród ksiąg starych, przyszli mu z pomocą, wskazując najlepsze dzieła. Nic też dziwnego, że umysł naszego panicza, wzbogacony nauką, jaśniał niby pochodnia, której trudno było nie ujrzeć. Ujrzeli ją też, ujrzeli, i wciągnęli do nowych obowiązków. Powołano Tadeusza Czackiego do komisyi kruszcowej, a we dwa lata później do komisyi skarbowej. Wszędzie pracował gorliwie i skutecznie. Wszedłszy do komisyi skar-

bu, chciał skarbów przysporzyć krajowi, i postąpił podobnie, jak wtedy, gdy go powołano do sądów.

Chcąc godnie piastować urząd, szukał w księgach prawnych wskazówki, chcąc zaś skutecznie pracować w komisyi skarbu, postanowił objechać kraj cały, w którym Stwórca rozsypał mnóstwo skarbów, chciał się w nich rozejrzeć. Objechał Polskę całą i przekonał się, że nasza ojczyzna mogłaby być zamożną i bogatą, gdyby naród chciał i umiał korzystać ze skarbów, jakie posiada, i dary przyrody umiejętnie rozwijać potrafił.

Tadeusz Czacki chciał w tem trudnem zadaniu dopomódz ziomkom, chciał w kraju podnieść rolnictwo, przemysł i handel, a że dla handlu potrzebne są środki komunikacyi, a komunikacyę ułatwiają rzeki spławne, zatem zajął się wydaniem mapy, na której było narysowane około 5.000 rzek w Polsce i Litwie. Były to rzeki wielkie i małe, były oznaczone ich zakręty, spadki, były wymienione sposoby do uczynienia rzek spławnemi. Ta mapa kosztowała wiele, bo 10.000 czerwonych złotych. Prawda, że to grosz piękny? Nie żałował go je-

dnak Tadeusz Czacki, lecz dał go z własnej szkatuły.

Król jegomość Stanisław Poniatowski, uznając wielkie zasługi Czackiego, obdarzył go orderem Orła białego i nadał mu starostwo Nowogrodzkie.

Podczas, gdy pan starosta starał się dobrą gospodarką wzbogacić skarb państwa, chytrzy sąsiedzi czyhali na naszą ojczyznę. Słyszeliście pewnie o Targowiczanach, oni to swoją płytką polityką dopomogli wrogom do powtórnego pomniejszenia granic naszej ojczyzny. W czasach, gdy Targowiczanie byli u władzy i pracowali nieświadomie na zgubę ojczyzny, pan starosta podziękował za urząd. Na to, co robili Targowiczanie, wzdragała się cnotliwa dusza pana starosty, nie mógł być dłużej na urzędzie i wtedy powrócił do Porycka, ku uciesze jego mieszkańców.

Czy myślicie, że po ciężkiej pracy i trosce o przyszłość kraju poprzestał pracować? Gdzie tam! gromadził ogromną moc książek w swojej bibliotece, rozczytywał się w nich, wreszcie zaczął pisać księgi. Wszystkich ja wam wyliczyć nie potrafię, aleć wspomnę tylko o jednej, która jego imię wsławiła na

wieki, a nosi tytuł: „O litewskich i polskich prawach“.

Rządy Targowiczan skończyły się niebawem, nieświadomie dopomogli do drugiego rozbioru Polski. Cóż dziwnego, że po takim gwałcie, jaki taki, co kochał ojczyznę i miał zdrowe ręce chwycił za broń przeciw najezdcom, gdy w dodatku można było dowództwo oddać takiemu sławnemu wojownikowi, jakim był Tadeusz Kościuszko. Nasz uczony pan starosta do broni się nie porywał, bo nią robić się nie nauczył, ani jako dziecko, ani później ślęcząc nad księgami; pomimo to nie przypatrywał się z założonemi rękami, gdy naród dobywał sił ostatek, aby ratować ojczyznę. Podczas wojny potrzeba dużo pieniędzy! O dostarczenie tychże Naczelnikowi Kościuszce, starał się nasz pan starosta.

Ale była siła złego na jednego! Trudno było podołać trzem wrogom, to też pomimo wysiłków naszych, nie my lecz wrogowie zwyciężyli, rozdarli do reszty nasz kraj i nuże dręczyć obrońców ojczyzny, a między innymi i pana starostę. Cesarzowa Katarzyna skonfiskowała mu dobra. Nastały dni ciężkie dla pana starosty! trapił się losem

kraju i losem własnym i rodziny, dręczyły go pozaciągane długi. A jakże je tu popłacić, gdy rząd zagarnął większą część majątku. Pan starosta zaprowadził w domu różne oszczędności, trapił się przykrem położeniem, tracił ochotę do jadła i w oczach niknął

Nieszczęście pana starosty odczuli jego domownicy i nuże radzić między sobą, jakby tu dobremu panu dopomódz? Narady toczyły się we dworze i w miasteczku; nieraz ja tych narad bywałem świadkiem, bo los dobrego pana leżał mi na sercu, jak los własny.

Domownicy, rada w radę, wymyślili nareszcie sposób na ulżenie trosk swego pana. Oto wszyscy razem poszli do niego i prosili, aby im pomniejszył zasługę: Ująłeś, panie starosto, ustom własnym — mówili — uszczupliłeś twoim najbliższym, tylko nam zostawiłeś taką, jak dawniej zasługę. Owóż my przyszli prosić o pomniejszenie zapłaty; zmniejszona wystarczy na nasze potrzeby. Boimy się jedynie tego, żebyś nas panie ze służby nie oddalił. Nie chcielibyśmy rozstawać się z naszym dobrodziejem, z naszym ojcem, od Boga nam danym.

Przy tych słowach łzy ciurkiem polały się z oczu domowników, a rozrzewniły do głębi pana starostę.

— A moi mili! a moi najlepsi! czy myślicie, że łatwo przyszłoby mi rozłączyć się z wami? Ostatnim chleba kawałkiem podzielę się z wami. Jednak wierzycieli spłacić muszę, a jeżeli po ich zaspokojeniu nic mi nie zostanie, wtedy rad nie rad z wami się rozłączyć będę musiał. Pojadę z rodziną do Krakowa, starać się będę o urząd profesora, aby mieć kawałek chleba dla siebie i dzieci i możność dania im wychowania i nauki.

Pan Bóg nie dopuścił. aby się poczciwe sługi rozłączyły z dobrym panem. Cesarzowa Katarzyna umarła, nastąpił po niej syn jej Paweł, który, wiedząc z własnego doświadczenia, że pokrzywdziła niejednego, starał się pokrzywdzonych wynagrodzić. Zwrócił wolność Kościuszce i jego towarzyszom, postanowił też oddać panu staroście skonfiskowane dobra. I tak skończyły się szczęśliwie kłopoty pana starosty; mógł znowu ze swobodną głową pracować dla dobra kraju, a zdarzyła się ku temu dobra chwila. Po nagłej śmierci cesarza Pawła, nastąpił syn jego Ale-

ksander, przy którym znajduje się książę Adam Czartoryski, co tak gorąco oręduje za swoim narodem.

Dla szerzenia nauki w państwie podzielono kraj na kilka naukowych okręgów. Dla każdego okręgu ustanowiono kuratora, a kurator ma nad okręgiem swoim najwyższą naukową władzę. Do pomocy kuratora są ustanowieni wizytatorowie, i mają czuwać nad szkołami. Ruś przydzielono do naukowego okręgu wileńskiego, w którym książę Czartoryski jest kuratorem, zaś na wizytatora gubernii wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej wezwano naszego pana starostę, który wezwanie przyjął, i ot duszą całą oddał się szkołom, powierzonym jego pieczy; a dziś otwiera nową szkołę w Krzemieńcu.

Ale otworzyć szkołę to nie jest tak łatwo, jak o tem powiedzieć. To też natrudził się pan starosta nie mało, nim do otwarcia szkoły przyszło. Boć na utrzymanie takiej wielkiej szkoły, potrzeba pieniędzy dużo, których przecie rząd nie dał. Owóż pan starosta objechał wszystkie trzy gubernie, jemu pod dozór oddane i zachęcał, prosił i namawiał obywatelstwo, aby grosza nie żałowało na szkoły. Wymowne słowa sta-

rosty nie były bez skutku! pootwierały się szkatuły pańskie, pootwierały się szkatuły duchowieństwa i posypało się z nich złota niemało, za które pan starosta szkołę w Krzemieńcu założył i dziś ją właśnie otwiera.

Na tych słowach przerwał pan majster opowiadanie, którego uważnie wysłuchali stolarz i syn jego. Nastała chwila milczenia, którą przerwał stolarz temi słowy:

— Bóg wam zapłać za poczciwe i rozumne słowa. Ale wiecie, panie majstrze, że słuchając was, podziwiałem nie tylko cnotę pana starosty ale i was.

— Cha! cha! cha! mnie? — zaśmiał się rubasznie pan majster. — Żeście się dziwili cnocie pana starosty, to jest rzeczą naturalną, lecz cóż we mnie do podziwu znaleźliście?

— Oto dziwuję się skąd majster szewcki może tak dokładnie wiedzieć, co się tyczy spraw kraju? Ja na ten przykład, tego wszystkiego tak dokumentnie nie wiedziałem.

A moi mili! czy to szewc ma tylko wiedzieć o swoim kopycie? — zaśmiał się znowu nasz pan majster. — A czy to nie słyszeliście o szewcu Kilińskim, który umiał robić foremne

trzewiki i mocne buty, a poza tem znał się na polityce i wojaczce. Mnie się tam nie mierzyć z panem Kilińskim, który umiał szyć buty, bić wroga, a w niewoli będąc, pisać składnie swoje ciekawe przygody; aleć gdym jaką taką naukę liznął w szkółce w Porycku, tom już się bez książki obejść nie potrafił. Bo gdy człowiek trochę nauki łyknie, to potem jej dla duszy tak potrzebuje, jak nie przymierzając dla ciała pożywienia.

— W niedziele i święta zaglądam ci ja do książek. Jednak o tych sprawach, o których wam rozpowiadałem, dowiedziałem się nie z książek, lecz od jednego z dworzan pana starosty. Znam ja się z nim nie od dziś, poznaliśmy się w szkółce w Porycku. Jest on ciekawy spraw kraju, przebywa ciągle na pokojach pańskich, słyszy, co panowie między sobą mówią, czego nie rozumie, pyta pana starosty, a pan starosta, przyjaciel swoich domowników, często gęsto z nimi o sprawach kraju rozmawia. Ot znacie już klucz do mego rozumu.

Zapanowało znowu milczenie, które tym razem przerwał syn stolarza,

chwytając ojca za kolana, mówił głosem proszącym:

— Tatusiu! zapiszcie wy mnie do tej nowej szkoły.

— W imię Ojca, Syna i Ducha, a tobie czego się zachciewa? — zawołał ojciec.

— Mój tatusiu! pozwólcie wy mi do szkoły chodzić, a ja już nigdy o nic prosić nie będę, tylko mi tego nie odmawiajcie.

— Nie, kara Boża z tym chłopakiem! — mówił sapiąc stolarz, opędzając się synowi, który jak pijawka do nóg ojcowskich się przyczepił i prośbę swoją niemal płaczliwym głosem powtarzał.

— Czy ty tam w kościele nie widziałeś, kto do szkoły chodzić będzie? Wszakże to były same panięta! postrojone, niby malowane. Ta szkoła nie dla takich, jak ty chudopachołków. Pilnuj ty warsztatu, a nie książki.

Syn słowami ojcowskiemi nie zrażony, swoją prośbę powtarzał uparcie. Upór chłopca zniecierpliwił stolarza, miał już gniewem wybuchnąć, lecz przeszkodził temu dawny uczeń szkółki w Porycku.

— Dajcie pokój, panie majstrze —

powiedział — skoro chłopak łaknie książki, nie godzi się wzbraniać.

— A czy umiesz już cokolwiek? — pytał szewc, zwracając się do chłopaka, który blizkim był płaczu.

— Umiem czytać — odpowiedział stolarczyk, wstrzymując łzy — pisać i rachować, umiem także trochę łaciny, a „Pielgrzyma w Dobromilu“ *) przeczytałem już kilka razy.

— Nie powinniście synowi wzbraniać nauki, mianowicie, że się trafia tak dobra sposobność. Widzę ci ja, że chłopak ma olej w głowie, niech do szkoły chodzi.

— Ależ czy ta okazała szkoła dla chudopachołków? — bronił się stolarz.

— Pan starosta założył szkołę w Krzemieńcu, aby rozszerzyć naukę w całym narodzie, to też niezawodnie każdego do szkoły przyjmie, kto ma zdolności i ochotę do nauki — odpowiedział szewc.

— A skoro tak, to niechże będzie po waszemu — rzekł, machając ręką, stolarz.

---

*) «Pielgrzym w Dobromilu» jest to Historya Polski, napisana przystępnie przez księżnę Izabelę Czartoryską, matkę księcia Adama.

Uradowany chłopak całował naprzemian ręce ojca i majstra szewckiego, który tak szczęśliwie opór stolarza przełamał.

Uroczystość w kościele właśnie się skończyła. Tłum ludzi wysypał się z kościoła, a nasi znajomi zbliżyli się ku głównej bramie, żeby raz jeszcze spojrzeć na dostojnych gości.

II. Panicze i syn stolarza.

Po nabożeństwie zaprosił pan starosta dostojnych gości na obiad. Nazajutrz rozpoczęła się nauka w nowej szkole. Na pierwszych lekcyach znajdowali się w klasach nie tylko uczniowie, lecz także ich rodzice lub opiekunowie.

— A to po co? — zawołają czytelnicy ze zdziwieniem. — Wszakże szkoła dla dzieci, a nie dla starszych!

Tak! Czacki jednak nie bez celu na pierwsze lekcye rodziców razem z dziećmi do szkoły wprowadził.

W czasach, gdy Tadeusz Czacki szkołę w Krzemieńcu otworzył, mało młodzieży z domów zamożnych, uczęszczało do szkół publicznych. Naukę pobierali w domu, najczęściej od cudzoziemców. A że Czacki chciał, aby polskie dzieci kształciły się w duchu na-

rodowym, więc chodziło mu o zachęcenie rodziców do oddawania dzieci do szkoły w Krzemieńcu. Otóż dla zachęty wprowadził założyciel szkoły starszych na pierwsze lekcye, aby przekonali się, czego i jak uczyć będą w szkole w Krzemieńcu. W tym celu profesorowie na pierwszych lekcyach wyjaśniali znaczenie każdej nauki. Do nowo założonej szkoły zapisano w pierwszym roku nie wiele więcej nad 200 dzieci, liczba ta rosła z rokiem każdym, aż doszła do pokaźnej liczby 800 uczniów.

Chcąc bliżej poznać nowo założoną szkołę, nie zaszkodzi rozpatrzeć się w miasteczku, w którem ją zbudowano, a następnie wmieszać się między uczącą się młodzież.

„Krzemieniec*), miasto powiatowe na Wołyniu, leży w głębokiej i ciasnej dolinie, otoczony wysokiemi, najrozmaiciej pomiętemi górami. Dolina ta zewsząd zamknięta, z której wyjść można najłatwiej przez długą szyję, zwaną dziś doliną Maćkową. Właśnie tamtędy idzie teraz droga ku Dubnu, pomiędzy dwoma rzędami gór malowniczych. Wskutek więc takiego położenia wjeż-

*) Opis Krzemieńca według Korzeniowskiego.

dża się do Krzemieńca od Podola z ogromnej Wiszniowieckiej góry, a wyjeżdża się z niego po drodze zupełnie równej, która idzie płasko i bez żadnego podnoszenia się, przez zielone błonia ku Ikwie, za którą zaczynają się piaski i sosnowe lasy.“

Jak urozmaiconem jest to położenie, jak bogatem w piękne widoki, rozległe perspektywy, cieniste i urocze przechadzki wśród parowów i wyniosłości, gdzieniegdzie ogromnemi drzewami zarosłych i schludnymi domkami tu i owdzie zasianych, już z powyższego opisu czytelnicy to widzą. Ta piękność położenia Krzemieńca była jedną z przyczyn, które uczniów tej szkoły do miejsca tego tak bardzo przywiązywały.

Chcąc przypatrzeć się Krzemieńcowi, trzeba stanąć w tem miejscu na Wiszniowieckiej górze, gdzie się zaczyna zjazd, i gdzie bojaźliwsi lub chcący swobodniej przypatrzeć się pięknemu widokowi, który się nagle odkrywa, wysiadają i idą piechotą. Oczom patrzących ukazuje się głęboka, zaludniona i budynkami okryta dolina, odgraniczona z prawej strony górą Zamkową, najwyższą ze wszystkich, zupełnie nagą, szarą, podnoszącą się w kształcie kolo-

salnego ostrokręgu, i na którego szczycie wznosił się zamek królowej Bony. Z poza góry Zamkowej wyglądała mało co niższa Czercza, a za nią inne, obrosłe pięknemi drzewami, ciągnące się wzdłuż ponad doliną Maćkową, i w miarę swego oddalania się, przechodzące w kolor sinawy. Od strony zachodniej występowała naprzód góra Ogrodowa, gładka i zielona, jakby ją kto aksamitem usłał, zaginała się poza ogrodem botanicznym i łączyła z inną górą, nazwaną Wołowicą, wchodzącą w miasto i bielejącą od łomów kamieni, które z niej brano. — Naprzeciwko góry Zamkowej, na podniesionem cokolwiek miejscu ukazują się ogromne mury pojezuickie, a obok pobazyliańskie, przerobione na nową szkołę. Za kościołem, którego dwie wieże i wielka kopuła wysunęły się na zielonym tle wznoszącej się za niemi pochyłości, ukazywał się ogród botaniczny, podnoszący się pod górę, opasany murem. U samych stóp góry Zamkowej wije się potok, który całemu miastu dostarcza wody, nad nim kościół niegdyś Franciszkański, a dawniej jeszcze właściwy zamek, gdzie było mieszkanie starostów. Obok kościoła ciągnie się ulica, zwana Szeroką,

na której bielały zajezdne domy i sklepy, i prostopadle od niej idące w górę dwie inne ulice, po obu bokach jezuickiego gmachu i ogrodu botanicznego, skąd uśmiechają się do widzów większe już i porządniejsze mieszkania z kolumnadą i topolami, a dalej i dalej w różnych zakrętach, najrozmaitsze co do wielkości i formy domki i dworki, właściwe mieszkania studenckie, rozrzucone bez porządku, ale najczęściej z ogródkiem lub przynajmniej z drzewem, które się przy ganku zieleniło. Wszystko razem jest pełne rozmaitości, pełne powabu.“

Powab ten powiększa się, gdy młodzież szkolna, wyszedłszy po nauce ze szkoły, rozsypie się po ulicach miasteczka i napełni je gwarem wesołym.

Wśród tej młodzieży znajduje się i syn stolarza Piotruś, któremu nauka i szkoła tak bardzo pachniała, przekonał się niebawem, że niema róży bez cierni. W nauce samej cierni nie znalazł, trudności bowiem napotkane, nie były dla pilnego chłopca cierniami, pokonywał je wytrwałą pracą. Ciernie zjawiły się pod postacią kolegów. Kolegów - paniczów, którzy do Krzemieńca przybyli w towarzystwie kamerdynerów

francuzów; ci paniczów stroili jak lalki, fryzowali im głowy przy pomocy rozmaitych żelazek i wmawiali im, że ubieranie się należy do najważniejszych czynności.

Owóż, gdy ufryzowani i wyelegantowani panicze ujrzeli obok siebie, na ławach szkolnych syna mieszczańskiego, oburzenie ich nie miało granic. Dzieci pańskie podówczas miały to przekonanie, że nauka jest przywilejem panów i szlachty. Chłopcy uważali sobie za ubliżenie, gdyby zasiedli na tych samych ławach synowie oficjalistów, a cóż dopiero synowie mieszczan i rzemieślników.

Paniczykowie w przykry, dotkliwy sposób dali uczuć Piotrusiowi, że znajduje się nie na swojem miejscu, że miejsce jego w warsztacie.

Piotruś znosił przykre docinki kolegów, i nawet się przed nikim nie użalił, wytrwale do szkoły chodził, a złośliwym kolegom nawet ostrem słowem nie odciął się.

A to mazgaj! zawołacie.

Owóż mazgajem nie był. Nie żalił się przed nikim, dlatego, że zdobywszy sobie wstęp do szkoły, nie chciał go utracić, co byłoby nastąpiło gdyby był

w domu przed ojcem się poskarżył. Piotruś bowiem pamiętał doskonale, że ojciec nie chciał pozwolić mu chodzić do szkoły, mówiąc, że ona nie dla chudopachołków. Nie chcąc zaś wywołać awantury w szkole, znosił dotkliwe żarciki i przycinki paniczyków.

Raz jednak przebrała się miarka. Chłopcy, nie poprzestając dokuczać Piotrusiowi między lekcyami, dręczyli go nawet podczas lekcyi, a zmówiwszy się, odsunęli się od niego tak, że siedział zupełnie odosobniony. Odosobnienie zauważyli profesorowie i zapytali Piotrusia o powód. Chłopiec, znoszący dotąd cierpliwie prześladowania, był tak niemi udręczony, że na zapytanie odpowiedział głośnem łkaniem.

Profesor na razie badać zaprzestał, lecz po skończonej nauce wezwał Piotrusia do kancelaryi, i sprawę wytoczył przed prefektem szkoły; jemu wydała się tak ważną, że ją przedstawił nie tylko dyrektorowi, ale i wizytatorowi, to jest Tadeuszowi Czackiemu.

I cóż się stało? zapytacie. Posłuchajcie: Nazajutrz w klasie, w której znajdował się Piotruś, siedzący dziś z rozkazu prefekta wśród innych uczniów, ukazał się szanowany i kochany przez

uczniów Czacki. Wszedłszy do klasy, przysłuchiwał się nauce, zadawał pytania i słuchał z przyjemnością roztropnych odpowiedzi chłopców; zapytywał kilka razy Piotrusia, który najwpierw nieśmiało, drżącym głosem, lecz zachęcony ojcowską dobrocią pana starosty, odpowiadał coraz śmielej, tem śmielej, gdy się pokazało, że potrafił odpowiedzieć na pytania, na które koledzy jego odpowiedzieć nie umieli.

Pan starosta, słuchając Piotrusia, był widocznie odpowiedziami jego ucieszony, zadowolenie swoje wyraził pochwałą: — Widzę, że dzielny z ciebie uczeń, że prześcignąłeś swoich kolegów, nie wątpię jednak, że oni ci dorównać zechcą. Uczeń bowiem każdy powinien pracować nad sobą, aby był panem samego siebie i umiał być wyższym nad swoje namiętności, szukać ma chluby tylko w doskonaleniu serca i rozszerzaniu władzy rozumu.

Moje dzieci — kończył pan starosta — mam dla was uczucie ojca i spodziewam się od was przywiązania. Spodziewam się, że słowa moje trafiły do waszych dobrych serc, że je zachowacie w pamięci i według nich postępować będziecie. Przynieście mi waszą

ufność i dobre postępowanie w nagrodę mego do was przywiązania. Niech dla was wszystkich Krzemieniec będzie świątynią cnoty, a przybytkiem nauki. Żegnam was drogie dzieci życzeniem, abyście się między sobą miłowali, jak dzieci jednego ojca. Miłość wasza braterska, sprawi mi żywą radość.

I cóż wy na to? spodziewaliście się sądów, kar, a zamiast tego wszystkiego usłyszeliście prawdziwie ojcowskie przemówienie do winowajców, których nie winowajcami lecz dziećmi swojemi nazwał pan starosta. Tadeusz Czacki bowiem łagodność w postępowaniu z uczniami za największą zaletę nauczyciela poczytywał, twierdząc, że przykład nauczyciela wpływa na charakter ucznia.

Co stało się po odejściu pana starosty z klasy?

Słowa zacnego człowieka podziałały na chłopców, jak ciepło na wosk, serca ich zmiękły. Przedewszystkiem wysłuchali bardzo pilnie, bardzo uważnie lekcyi, bo zapamiętali, że ten ich drugi ojciec powiedział, że szukać mają chluby w rozszerzaniu władzy rozumu. Oni chluby tej szukać chcieli! Rozumieli, że koniecznym do tego wa-

runkiem była nauka, a chcąc ją sobie przywłaszczyć, należało uważać podczas lekcyi. Uważali też z całem skupieniem myśli. Po skończonej nauce, wracali do domu bardzo zamyśleni, rozważali posłyszane w szkole słowa pana starosty, które były dla nich czemś zupełnie nowem. Dotychczas uważali się za coś lepszego od Piotrusia, dlatego, że ich rodzice mieli znaczny majątek, ojcowie piastowali wysokie urzędy, podczas, gdy ojciec Piotrusia był rzemieślnikiem. Tymczasem pan starosta przekonał ich, że Piotruś jest lepszym od nich uczniem, że oni dopiero przy pracy usilnej synowi stolarza będą mogli dorównać w nauce. Na dzisiejszej lekcyi poznali nową prawdę: że majątek i tytuły ojca, nie są żadną zasługą i zaletą ucznia, że w szkole ten jest pierwszym, kto się dobrze uczy, że o wartości człowieka stanowi jego osobista zasługa. Cóż zatem dziwnego, że poznane prawdy dały im wiele do myślenia!

W dodatku przypomnieli sobie i te slowa pana starosty, że szukać mają chluby w doskonaleniu serc swoich. W odpowiedzi na te słowa sumienie wołało głośno: Postępowanie wasze wobec Piotrusia dalekiem było od brater-

stwa, było szkaradne! Dla uspokojenia sumienia, zrobili bardzo ważne, bardzo poważne postanowienie: złe należy koniecznie i bezzwłocznie naprawić.

Piotruś wracał do domu radosny, lecz nie tryumfujący. Spoglądał na swoich niedobrych kolegów bez gniewu, owszem łagodnem braterskiem spojrzeniem. Czyż mógłby patrzeć inaczej? Wszakże słowa pana starosty utkwiły dobremu chłopcy w pamięci, jak świętość, jak ewangelia! Miłość bratnią zalecał ten fundator szkoły krzemienieckiej, czyż zatem można było patrzeć na kolegów inaczej jak na braci?

Czasami dobre słowo mięknie nam serca, nie na długo jednak! Pomyślicie może, że tak się stało w Krzemieńcu. Otóż nie, że tak nie było, jak myślicie, niech was przekona następujące zdarzenie, które miało miejsce po upływie lat kilku od czasu utworzenia szkoły w Krzemieńcu.

Piotruś ze swymi kolegami przeszedł już cztery niższe klasy i był obecnie panem Piotrem, uczniem kursów wyższych, których w szkole krzemienieckiej było trzy, a każdy trwał dwa lata.

Razu pewnego, w piękny dzień majowy, uczniowie kursów wyszli z książkami do ogrodu botanicznego, który był pielęgnowany z nadzwyczajną starannością przez ogrodnika Niemca. — Jedni uczniowie uczyli się chodząc, inni posiadali na ławeczkach. Piotr przechadzając się, uczył się z książki, często jednak odrywał oczy od książki i przypatrywał się tej lub owej roślinie, a było ich w ogrodzie mnóstwo wielkie, to też dla amatora pokusa nielada. Uległ jej nawet tak pilny uczeń jak Piotr.

Stawał co chwila i zachwycał się barwą i kształtem kwiatów. Na uboczu dostrzegł piękny krzew okryty kwiatami; chcąc im się lepiej przypatrzeć, ujął jedną gałązkę. Naraz odepchnęła go silna dłoń. Piotr zatoczył się i o mało nie upadł. Gdy ochłonął z przykrego uczucia i podniósł oczy, ujrzał przed sobą gniewnego ogrodnika i posłyszał obelżywe słowa, wymawiane głosem podniesionym.

— Myślisz, że dla stolarczyka wyhodowałem tak szczególną roślinę?

Nim znieważony Piotr otworzył usta ku swojej obronie, aliści wymierzono silny policzek ogrodnikowi. Sędzia i wykonawca kary krzyczał gniewnie:

— Jak śmiesz znieważać pierwszego ucznia naszego kursu! Wszakże botaniczny ogród założył pan starosta dla pożytku i nauki uczniów, więc każdemu wolno oglądać rośliny.

Uczeń, który tak porywczo stanął w obronie znieważonego kolegi, był to panicz, patrzący niegdyś pogardliwie na syna stolarza, dziś szanujący kolegę, który wszystkich w klasie prześcignął.

Drugi syn obywatelski, świadek opisanej sceny, szarpnął za dzwonek, na głos którego zbiegli się uczniowie kursów, a dowiedziawszy się co zaszło, rzucili się na ogrodnika i nuże okładać go pięściami i krzyczeć nad uszami wystraszonego człowieka:

— Pamiętaj, że nie wolno nikomu znieważać najlepszego ucznia.

Wszyscy ci uczniowie, byli to synowie zamożnych obywateli.

Ogrodnik byłby drogo okupił swoje brutalstwo. Na jego szczęście nadbiegł prefekt, a na jego widok oprzytomnieli chłopcy, stanęli w milczeniu jak winowajcy. W milczeniu i pokorze przyjęli naznaczoną im przez prefekta karę za to, że ośmielili się wymierzyć sobie sprawiedliwość, zamiast odnieść się do przełożonych szkoły.

III. Dzieje ubogiego ucznia.

— A to co? — zawołał jeden z uczniów szkoły Krzemienieckiej, odłączywszy się od kolegów, grających w piłkę na obszernej galeryi, znajdującej się przed gmachem szkolnym.

Wołania chłopca większość grających w piłkę nie słyszała, nie wszyscy jednak byli grą zajęci, więc posłyszawszy okrzyk, pytali:

— Cóżeś ujrzał ciekawego?

— Widzisz?—pytał pierwszy wskazując ręką w dal.

— Nic nie widzę — odpowiedział któryś.

— Widzę! — wołał inny — jakiegoś młodzieńca, który na rozstawionych przyborach rysunkowych pilnie rysuje.

— Co on rysuje? — ozwało się pytanie z gromadki uczniów.

— A cóżby innego, jeżeli nie to co ma przed oczami, t. j. Krzemieniec.

— Paradnyś! Krzemieniec przecie

nie szpileczka, lecz okazałe i rozległe miasteczko, czyż zmieściłoby się na niewielkim kawałku papieru?

Sprzeczkę zakończył jeden z chłopców w bardzo prosty sposób, mówiąc:

— Zamiast sprzeczać się, chodźmy się przypatrzeć, przekonamy się w ten sposób kto ma słuszność.

— Chodźmy! — zawołało zaraz głosów kilka, jużeśmy się w piłkę dosyć nagrali.

Po tych słowach kilku chłopców ruszyło w stronę rysującego młodzieńca.

Na palcach, cichutko stanęli za plecami rysownika, i ciekawe oczy zwrócili na papier, na którym widać było dwie góry: jedna wyższa i naga, podobna do głowy cukru z urąbanym wierzchołkiem, zamiast którego wznosił rysownik, śmiałymi ruchami ołówka, zamek, poza górą wyższą widniała niższa, okryta drzewami.

Góra Zamkowa! Zamek królowej Bony! Góra Czercza! ozwało się naraz głosów kilka, poza plecami rysującego młodzieńca, który snać przestraszony niespodzianymi okrzykami, zwrócił głowę ku studentom.

— Przecież to sztuka odrysować

tak dokładnie przedmioty z natury — zauważył któryś.

— Chciałbym tak umieć — mówił inny.

— Rysować tak, jak ja rysuję, sztuką nie jest, potrafi tak każdy przy małej pilności i wprawie—rzekł rysownik.

— O doprawdy! — ozwało się głosów kilka, wyrażających zdziwienie lub zapytanie.

— Chiałbym uczyć się rysować! Ja także! Ja także! — ozwało się ze stron wszystkich.

— Jeżeli macie ochotę, to z chęcią uczyć was będę, możemy rozpocząć lekcye zaraz od jutra — mówił nieznajomy młodzieniec.

— Czy naprawdę? — pytali chłopcy.

Rzecz, która im się podobną do prawdy nie wydawała, urzeczywistniła się niebawem.

Nieznajomy młodzieniec z chłopcami do Krzemieńca przyszedł, o lekcye rysunków z amatorami się umówił, mieszkanie u studentów znalazł i lekcye rysunków nazajutrz rozpoczął. Porobił wkrótce znajomości ze starszymi uczniami, ci go namówili do uczęszczania na niektóre przedmioty, wykładane na kursach, przypadkowy przybysz w wykła-

dach zasmakował i na wszystkie pilnie uczęszczał, wkrótce zjednał sobie serca kolegów i życzliwość nauczycieli.*) Nieznajomemu młodzieńcowi było na imię Antoni, błogosławił on przypadkowi, który go do Krzemienieckiej szkoły przyprowadził. Był to bowiem chłopak ubogi, pragnący się uczyć, a nie mający na to potrzebnych środków. Środki te niespodziewanie znalazły się właśnie: Kilka lekcyi rysunków, ot i będzie mały fundusik, potrzebny na opłacenie wspólnego z kolegami mieszkania i skromnego pożywienia. Na to mały, a stały dochód wystarczy, mianowicie, że Antoś, przybywszy do Krzemieńca był zaopatrzony w nowe suknie i bieliznę, w dodatku w szkatule jego brzęczało 15 dukatów, które poprzednio przy pomocy ołówka zarobił; mógł zatem spokojnie w Krzemieńcu siedzieć i bogacić umysł skarbami nauki.

Miesiąc właśnie upłynął od przybycia Antosia do Krzemieńca, więc należało gospodyni zapłacić za wikt, a że uczniowie za lekcye rysunków jeszcze nie zapłacili, zatem Antoś otwiera swo-

*) Szczegóły do niniejszego rozdziału są czerpane z «Ramot starego Detiuka».

ją szkatułkę, i z wielkiem przerażeniem spostrzega, że w szkatułce niema ani jednego dukata!

Możecie wyobrazić sobie jakiego przykrego uczucia doznał Antoś na widok swej straty. W pierwszej chwili myśli pozbierać nie mógł! Co począć? pomyślał — śród obcych znaleźć się bez grosza! Z ciężką troską spać się położył, to też nic dziwnego, że noc przepędził bezsenną; rozmyślając, co dalej będzie? E, e, e! nie będzie znowu tak źle, pocieszał się — wszakże uczniowie zapłacą za lekcye, to na jakiś czas wystarczy; mianowicie, że mam nową bieliznę i nowe ubranie, mogę zatem być spokojnym. Lecz niestety spokojnym być nie mógł, bo pieniędzy za lekcye rysunków nie otrzymał. Uczniowie obiecali zapłacić dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Nasz młodzieniec na zwłokę się zgodził, ambicya bowiem nie pozwalała mu przyznać się do kłopotliwego położenia. Nie przyznał się również nikomu, że z jego szkatułki ulotniły się dukaty. Ale, że gospodyni za obiad zapłacić należało, zatem nie zwlekając, zastawił w mieście zegarek, poczem należytość za obiady zapłacił

i uspokoił się nieco, bo pozostało mu jeszcze trochę pieniędzy. Oszczędności, które Antoś zaprowadził, dostrzegli koledzy, domyślili się powodu, a nie chcąc jałmużną upokarzać młodzieńca, starali się przyjść mu w pomoc w sposób delikatny, i tak: ten zaprosił go na obiad, ów na kolacyą i jakoś schodził dzień za dniem szczęśliwie, że Antoś rzadko kiedy głodu zaznał. Za lekcye rysunków także kapnął od czasu do czasu grosz jaki. Nadeszła zima. Mieszkańcy Krzemieńca urządzali wieczorki tańcujące, zapraszano na nie uczniów wyższych kursów, a z nimi i Antosia; bawił się na wieczorkach wyśmienicie. Śród nauki i zabawy zapomniał o swoich kłopotach pieniężnych, aż razu pewnego przypomniały mu się w sposób bardzo przykry. Przyczyną przykrości były buty, w których podeszwy całkiem się podarły! To spostrzeżenie nabawiło nie małego kłopotu naszego młodzieńca. Siedział i dumał smutnie, zapatrzony w dziurawe podeszwy. Pomyślał, że są tak potrzebne, jak dziury w moście. Myśli te jednak nie zaradziły złemu, trzeba było szukać rady w złej przygodzie. Oto przypomniał sobie, że ma mocną tekturę, z której zrobi doskonałe

podeszwy. Doskonałe — myślał, w poście tańców nie będzie, więc wystarczą.

Nazajutrz zerwał się Antoś rychło o świcie i zmajstrował sobie podeszwy tekturowe, paradował w nich, jakby były z najlepszej skóry i cieszył się, że przy pomocy tektury zasłonił przed ludzkiemi oczami swoją biedę. Tak się naszemu zuchowi zdawało. Biedę jednak Antosia poczciwe ludzkie oczy widziały, i chciały jej zaradzić w sposób taki, aby młodzieniec podstępu się nie domyślił.

Razu pewnego, gdy Antoś w swojej izdebce ślęczał nad książką, wszedł służący Proskury, tak nazywał się jeden z kolegów Antosia.

— A co mi to Andrzeju powiecie? — pyta Antoś przybyłego.

— Przychodzę do panicza z prośbą.

— Mówcie, słucham.

— Czy nie kupiłby sobie panicz ode mnie butów? oto są — to mówiąc, postawił przed Antosiem doskonałą nową parę butów.

Podczas, gdy student w milczeniu przypatrywał się butom, tak bardzo mu potrzebnym, Andrzej mówił drapiąc się po głowie:

— Mój panicz kupił sobie te buty,

ale na niego zaciasne, więc mi je podarował. Moją nogę trzebaby chyba ociosać, żeby się w te buty zmieściła, ale mnie się widzi, że one jak ulał na panicza będą. Kup je panicz; ja w tej chwili pieniędzy nie potrzebuję, zaczekam.

Antoś buty przymierzył, były istotnie na niego prawie, to też zawołał:

— Zgoda — usiłując pokryć swoją radość — zapłacę wam za buty, gdy dostanę pieniądze za lekcye rysunków.

— Mnie nie pilno — odpowiedział Andrzej — dziękuję paniczowi.

— Ależ za co? — pytał student.

— Za co? za to, że nie będę potrzebował chodzić od domu do domu i z mojemi butami się napraszać— mówił Andrzej zabierając się do wyjścia;— dobranoc paniczowi.

— Dobranoc wam, Andrzeju.

Możecie wyobrazić sobie, jaką dobrą noc miał nasz młodzieniec, dostał buty tak bardzo mu potrzebne w sposób tak dziwny, niespodziewany. Ci, co zawsze całe buty mają, nie domyślają się nawet, jakiego przyjemnego uczucia doznał Antoś, gdy zamiast butów z tekturowemi podeszwami, wdział zgrabne nowe buty! Nie domyślał się je-

dnak, że poczciwy Stach Proskura jego tekturowe podeszwy dostrzegł i z Andrzejem ułożył całą komedyę, mającą na celu zaopatrzenie ubogiego ucznia w buty.

Jednak pomimo serdecznych zabiegów kolegów, położenie Antosia pogarszało się z dniem każdym, jeden bowiem z jego uczniów ze świąt do szkoły nie wrócił, drugi zachorował, trzeci przestał się uczyć rysować z powodu bólu oczu. To też niedostatek dokuczał coraz bardziej Antosiowi, lecz w chwili najprzykrzejszej, trafiła mu się sposobność wydobycia się z przykrego położenia. Sposobność zdarzyła się pod postacią pana szambelana Radzimińskiego, który właśnie do Krzemieńca przyjechał, aby odwiedzić syna starszego, stojącego na stancyi u księdza profesora Osińskiego. Przy tej sposobności chciał wyszukać nauczyciela domowego dla młodszego syna.

Przyjechawszy do Krzemieńca zastał starszego syna uczącego się z Antosiem, chłopakom naukę przerwał i w rozmowę z nimi się wdał. Z rozmowy przekonał się, że Antoś byłby doskonałym nauczycielem dla jego młodszego syna, to też Antosiowi posadę u

siebie zaproponował. Antoś propozycyę szambelana bez namysłu przyjął, uważając ją w swojem przykrem położeniu za deskę zbawienia. Stanęło na tem, że pan szambelan za tydzień konie po studenta przyśle. Na wyjezdnem, przy pożegnaniu z księdzem Osińskim, pan szambelan oświadczył, że jest bardzo zadowolony z tego, że Antoś za nauczyciela do młodszego syna się zgodził.

Nazajutrz dostał Antoś wezwanie od prefekta szkoły, Jarkowskiego; gdy przed nim się stawił, zacny człowiek zapytał:

— Cóż to, moje dziecko, chcesz porzucić gimnazyum?

— Tak jest mości prefekcie Dobrodzieju.

— Dlaczegóż to władza szkolna o tem nie wiedziała? — mówił prefekt, patrząc badawczo w oczy milczącego studenta.

— Wstydziłeś się przyznać żeś biedny — mówił prefekt — to wstyd fałszywy! biednych więcej na świecie niż bogatych. I jam nie z bogatych powstał. Pracę i statek z ubóstwa wywodzą. Władza szkolna jest z ciebie zadowolona, nie ma ci nic do zarzucenia, prócz tego, żeś bez jej wiedzy sobą

rozporządził. Ale to jeszcze da się przerobić; pamiętaj, że u mego stołu miejsce na ciebie zawsze czekać będzie.

Antoś wzruszony słowami prefekta ucałował jego ręce, a po chwili rzekł:

— O nie odmawiaj mi ojcze dobrodzieju i nadal swojej życzliwości!

Prefekt ucałował w czoło rozrzewnionego chłopca i pożegnał go temi słowy:

— Prowadź się zawsze poczciwie dziecko moje, a prefekt będzie ci życzliwy.

Wzruszony Antoś wybiegł z mieszkania prefekta i szedł pośpiesznie ku domowi, przechodząc koło mieszkania dyrektora nazwiskiem Czecha, ujrzał go stojącego na ganku swego dworku. Dyrektor dostrzegłszy Antosia, skinął na niego, gdy chłopak stanął przed swoim zwierzchnikiem, ten ostatni rzekł:

— Proszą z sobą, mam z waćpanem do pomówienia.

Piękna twarz zacnego dyrektora wyrażała rozum i dobroć, pomimo to Antoś drżał, przestępując wysokie progi zwierzchności szkolnej. Gdy weszli do pokoju, dyrektor zapytał ucznia:

— Cóż to waćpan opuszczasz gimnazyum!